

Każdy katolik
W niedziele i święta
O mszy i kazaniu
Sumiennie pamięta;

PIAST

Nie nie kupuje
I nie nie sprzedaje,
Sam nie zarabia
Zarobku nie daje.

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Nowin“, poświęcony sprawom religijnym, nauce i rozrywce.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — Na wieki wieków! Amen.

Na Wielkanoc.

LEKCJA.

1 Kor. V. 5—9.

Bracia! Wyczyśćcież stary kwas, abyście byli nowem naczyniem, jako przaśni jesteście, albowiem Pascha nasza ofiarowany jest Chrystus. A tak używajmy nie w starym kwasie, ani w kwasie złości i przewrotności, ale w przaśnikach, szczerości i prawdy.

EWANGELIA.

Marek XIV. 1—8.

W on czas: Marya Magdalena i Marya Jakubowa i Salomea nakupiły wonnych olejków, aby przyszedłszy namazały Jezusa. A bardzo rano pierwszego dnia z Szabatów, przyszedły do grobu, gdy już weszło słońce. I mówiły między sobą: Kto nam odwali kamień ode drzwi grobowych? A spojrzawszy, obaczyły odwalony kamień, albowiem był bardzo wielki. A wszedłszy w grób, ujrzały młodzieńca siedzącego po prawej stronie, ubranego w szatę białą i zdumiały się. Który im rzekł: Nie lękajcie się: Jezusa szukacie Nazareńskiego, ukrzyżowanego: wstał, nie masz go tu; oto miejsce, gdzie go położono. A idźcie, powiedzcie uczniom jego, i Piotrowi: iż was uprzedza do Galilei. Tam go oglądacie, jako wam powiedział.

Na poniedziałek Wielkanocny.

EWANGELIA.

Łukasz XXIV. 13—25.

Onego czasu: Dwaj z Uczniów Jezusowych tegoż dnia szli do miasteczka, które było na sześćdziesiąt staj od Jeruzalem, na imię Emmaus. A ci rozmawiali ze sobą o tem wszystkim, co się było stało. I stało się, gdy rozmawiali, i społu się pytali, i sam Jezus przybli-

żywszy się szedł z nimi. A oczy ich były zatrzymane, aby Go nie poznali. I rzekł do nich: Cóż to są za rozmowy, które idąc macie między sobą, a jesteście smętni? A odpowiadając jeden, któremu imię Kleofas, rzekł Mu: Tyś sam gościem w Jeruzalem, a nie wiesz, co się w niem wte dni działo? Którym On rzekł: Co? I rzekli: O Jezusie Nazareńskim, który był mąż prorok, potężny w uczynku i mowie przed Bogiem i wszystkim ludem, a jako przedniejsi kapłani i przełożeni nasi wydali Go na skazanie śmierci i ukrzyżowali Go. A myśmy się spodziewali, iż On miał odkupić Izraela: a teraz nad to wszystko dziś trzeci dzień jest, jako się to stało. Ale i niewiasty, niektóre z naszych przestraszyły nas, które przededniem były u grobu, a nie znalazłszy ciała Jego, przyszły powiadając, iż i widzenie anielskie widziały, którzy powiadają, że żyje. I poszli niektórzy z naszych do grobu, i tak znaleźli jako niewiasty powiadały, ale Samego nie znaleźli. A On rzekł do nich: O głupi, a leniwego serca ku wierzeniu temu wszystkiemu, co powiedzieli prorocy! Iżaż nie było potrzeba, aby to był cierpiał Chrystus i tak wszedł do chwały Swojej? A począwszy od Mojżesza i wszystkich proroków wykladał im we wszystkich pismach, co o Nim było. I przybliżyli się ku miasteczku, do którego szli, a On okazał, jakoby dalej miał iść. I przymusili Go, mówiąc: Zostań z nami, boć się ma ku wieczoru i dzień się już nachylił. I szedł z nimi. I stało się, gdy siedział z nimi u stołu, wziął chleb i błogosławił i łamał i podawał im. I otworzyły się oczy ich i poznali Go, a On zniknął z oczu ich. I mówili między sobą: Iżali serce nasze nie pałało w nas, gdy mówił w drodze i pisma nam otwierał? A wstawszy teje godziny wrócili do Jeruzalem i znaleźli zgromadzonych jedenaście i tych, którzy z nimi byli powiadających, iż wstał Pan prawdziwie i ukazał się Szymonowi. A oni powiadali co się działo w drodze i jako Go poznali w łamaniu chleba.



Nauka.

Największym dobrem człowieka na ziemi jest pokój, bo wtenczas i Boga spokojnie chwalić może i duszę swoją kształcić, i majątku przysporzyć, i tego co Bóg dał, swobodnie użyć; albowiem w spokojnym czasie każdy pewny swego życia i mienia. Z tego powodu Zbawiciel Jezus po swoim zmartwychwstaniu przybył do uczniów swoich, kiedy byli zamknięci, stanął w pośrodku nich, by się im zmartwychpowstały pokazał, i wesoło ich pozdrowił, mówiąc: Pokój wam! Jak gdyby im powiedział: Pokój wam i spokój przynoszę, byście z sobą w zgodzie, w spokoju, miłości i jedności żyli, byście pokój całemu światu zwiastowali.

Największym nieprzyjacielem człowieka jest sam sobie człowiek, jak tego nieprzyjaciela pokona, wszystko pokona; będzie miał w duszy swojej i z ludźmi pokój. Ale jak duszę jego opanuje chciwość, będzie pragnął każdemu wydrzeć majątek, pieniądze, i co tylko posiada; jakże taki może mieć pokój? Martwi go, gryzie go, na co tylko spojrzy. W nocy łakomstwo, chciwość i skąpstwo sen mu przerywa; we dnie nad oszukaństwem przemysłowa, ustawicznie z chęcią z bogaceniem się walczy, bo to mu zbrodnicze myśli nasuwa. Niechaj tylko chciwość wyrzuci ze serca swego, a błogi spokój nastanie w duszy jego.

Kto utrzymuje w sercu swoim chuci i pożądliwości cielesne, ten nigdy spokoju mieć nie może, bo myśli, mowy i uczynki jego do zmysłowości skierowane, ten ustawicznie z sobą walczy, bo Paweł św. mówi: iż ciało pożąda przeciw duchowi, a duch przeciw ciału. Tego własna pożądliwość kusić będzie, jak pisze św. Jakób 1,14. Jakże więc taki sam z sobą w spokoju być może, kiedy ustawicznie myśli, jak zmysłowość zaspokoić? Jak niewinność uwieść, jak małżeństwa poróżnić! Taki ustawicznie sam z sobą wojuje, a taka wojna, mówi Chryzostom św. najgorsza. Bo wojna z barbarzyńcami, lub którą sami między sobą prowadzimy, choć nas wymorduje, ale nam duszy nie zabije; wojna zaś, w której ciało nasze przeciwko nam powstaje, to najgorsza, bo wznieca pożądliwość, uzbraja się w złość, nienawiść, a kto w tej walce nie zwycięża, ten odbiera rany, które go o śmierć wieczną przyprowadzają. Dlatego tenże ojciec Kościoła upomina, byśmy czuwali nad sobą, bo było wielu, co zwyciężyli narody, a samych siebie zwyciężyć nie mogli.

Przeto wyrzucmy z serca naszego chuci, pożądliwości, a będziemy mieli pokój sami z sobą.

Czyje serce pragnie górować nad wszystkimi, ten nie będzie miał nigdy pokoju z sobą, ani z ludźmi, bo każdego napastnie, wszystkim się sprzeciwi, wszystkiemi pogardzi, będzie mu się zdawało, że on najmądrzy, najlepszy, że mu się wszyscy ludzie kłaniać po-

winni i przed nim czołgać, a gdy tego nie odbiera — nieszczęśliwy! Niechaj tylko wyrzuci pychę ze serca, upokorzy się przed Bogiem, z ludźmi niechaj się po ludzku obchodzi, a będzie miał pokój w duszy i z ludźmi. Albowiem pycha jest początkiem grzechu każdego: kto się jej trzymać będzie, pełen będzie przekleństwa, a nakoniec go wywróci, mówi Eklez. 10.

Czyje serce do gniewu skłonne, ten się na bagatelę obrazi; gniewa go mowa ludzka, wesołość ludzka, smutek ludzki, na co tylko spojrzy, gniewa się, trzęsie się, rzuca się, a często kroć tak izłośćnik sam się na siebie gniewa. Jakże taki sam z sobą będzie w spokoju? Niechaj tylko wyrzuci gniew ze serca swego, a pokój do niego zawita! Tak postępowali wszyscy, którzy się Bogu podobali: tak postępował Job cierpiący: Oto ten na śmieczku leży wyzuty z majątku, pozbawiony dzieci, przyjaciół, żona własna, chcąc mu skrócić cierpienia, radzi mu, by sobie życie odebrał. Ten, mając w duszy spokój, nie gniewa się, nie rzuca się, ale jej spokojnie odpowiada: Gdyśmy z ręki Boga odebrali dobre, dlaczego byśmy i złego odebrać nie mieli. Tak przemawia spokój duszy! Tak znosi chorobę, utratę majątku, dzieci i największych przyjemności! Co to wycierpiał i Paweł św. na morzu, na lądzie i po więzieniach ale mając spokojne sumienie, nic go nie mogło oderwać od Chrystusa i spokojnie oddał głowę swoją pod miecz katowski.

Zatem jeżeli i my chcemy mieć pokój sami z sobą, wyrzucmy namiętności z serca naszego, a spokój sam nastanie; dopóki tych nie wyrzucimy, nie przytłumimy, dopóty nie będzie pokoju w sercu naszym, bo te będą największym nieszczęściem naszym. Człowiek, jeżeli go prześladowają w jednym mieście, pójdzie do drugiego, a będzie miał spokój; jeżeli ma sędziego nienawistnego, uda się do drugiego, a pozbędzie się nienawiści; jeżeli ma sąsiada złego, wyniesie się od niego, pozbędzie się kłopotu, nienawiści i utrapienia. Ale jeżeli ma w sercu niepokój, dokądże pójdzie? Przeto przemawiam jeszcze raz i po milion razy powtórzę: Wyrzucmy ze serca naszego złe myśli, chuci, namiętności, gniew, nienawiść i wszystko, co Boga obraża, a będziemy mieli pokój sami z sobą.

Jeżeli kogo sumienie ruszało i niepokoiło, niech się uda do konfesyonału, wypowiada się szczerze i dokładnie, z prawdziwą skruchą, niechaj pokutuje za grzechy swoje, a dostąpi prawdziwego pokoju.

W Dzień Zmartwychwstania.

Hosanna! biją dzwony,
Hosanna! wtórzy cicho echo gór,
Hosanna! brzmi w powietrzu,
Od ziemi, aż do chmur.

Hosanna! ziemia drży
I serce w ludzkim łonie,
Hosanna! grzmią organy
A kościół w blaskach tonie.

Hosanna, pieśń potężna
W kościelny bije trop,
Serdeczne w niebo ślą modlitwy
Pospołu pan i chłop.

I płynie ta modlitwa serc,
Pokorna a gorąca,
Miłością wielką wraz
I wielka prośba drżąca!

O, Chryste Zbawicielu!
Przez Twoje Zmartwychwstanie
Nad nami nieszczęśliwymi
Racz się zlitować Panie!

KLUSOWNIK.

Nowela Klemensa Junoszy.

(Ciąg dalszy.)

Mateusz idzie ku lasowi zadumany, bo i ma o czym.

Za kilka dni wypada mu stawić się do sądu i o co? o głupi dąbek, wywieziony nocną porą, cichaczem. Ze sprawy nie będzie nic, bo za rękę nie złapali, dowodów niema, a poszlaki niewiele znaczą... Koguciński za świadka ma stawiać, ale choć przed ludźmi za Mateuszowego wroga uchodzi, w gruncie za jedno z nim trzyma... i sam zresztą nie jest czysty jak szkło... Koguciński sprawy nie popsuje, ale trzeba się z nim porozumieć, naradzić, żeby nie oskarżał, a w rzeczywistości bronił, mówił i tak i siak, i to i owo, a jedno żeby się drugiego nie trzymało. Wreszcie i Abram będzie za świadka podany, ażeby zeznał, że tej nocy, podczas której dąbek skradziono, Mateusz w miasteczku był i właśnie u Abrama nocował. Dziesięciu żydków to widziało i w razie potrzeby mogą nawet zaprzysiądz...

Sędzia będzie na to zeznanie głową kiwał niech sobie kiwa, głowa należy do niego i wolno mu nią robić co chce; ale kiwanie prawdy nie wzruszy...

Powiadają, że dąbek ukradziono nocy czwartkowej i oskarżają o to Mateusza, a przecież faktem jest, że Mateusz sprzedał w miasteczku jakiś dąbek we czwartek i tego dnia nie powracał do domu, lecz nocował u Abrama. To jest prawda sprawiedliwa; różnica może być tylko w definicyi, która właściwie noc jest czwartkowa: czy ta, co idzie po czwartku i poprzedza piątek, jak sądzi Abram i jego przyjaciele. Wolno sędziemu myśleć tak, Abramowi wolno myśleć inaczej, ale racją ma Abram.

Dla czego? Dajmy na to, że kobieta stała się wdową i powtórnie wyszła za mąż. Któż jest jej mężem: czy ten, co przeszedł, przemi-

nał i nie jest; czy ten, który żyje? Oczywiście ten drugi... Tak samo i noc nie mogła należeć do czwartku, który jeszcze nie istniał... Można by w tem dowodzeniu, chcąc przedmiot do gruntu wyczerpać i wszechstronnie go zbadać, odwrócić kota ogonem i przedstawić rzecz z innej strony, na odwrót i jeszcze raz na odwrót, ale w danym przypadku nie idzie o dysputę, tylko o sąd... więc można poprzestać na skróconej procedurze myślenia...

Wobec takich świadków i wobec Kogucińskiego, Mateusz nie lękał się sądu, ale przykra mu była mitręga, włóczenie się strata czasu. Tej nocy, na taką niepogodę, wołałby spać, a niżeli iść do Kogucińskiego, ale trudno, w kozie siedzieć nie rozkosz... lepiej żelaza na zające zastawiać, lub lisy truć...

Idąc, rozmyślał; czuł się obrażonym. Zapozwano go o kradzież, to znaczy, że pośrednio nazwano go złodziejem, a on przecież złodziejem nie jest, — i nigdy nim nie był. W Boga wierzy, pacierz mówi, dziesięcioro przykazań umie na pamięć. Wie że siódme przykazanie głosi: „nie kradnij“, i on nie kradnie. Nie wyprowadził nocą konia ze stajni, nie sięgnął do cudzej kieszeni, nie wyniósł cudzego zboża ze śpichrzu, nie wyłamał zamków, nie rozbił cudzej skrzynki ani kufra, i nazywają go złodziejem! Za co? że wziął jakiś marny dąbek!

I znowuż to ta niezrozumiana przez ludzi różnica pojęć...

Mateusz zastanawia się i pyta sam siebie.

Czy jest złodziejem ten, kto pije wodę z cudzej studni? — Nie.

Czy jest złodziejem, kto odpoczywa w cieniu przydrożnego drzewa? — Nie.

Czy człowiek zbierający grzyby lub jagody w lesie cudzym, jest takim samym łotrem, jak ów, co kradnie gospodarzom konie? — Nie. Siódme przykazanie powiada: „nie kradnij...“ — ale nie mówi: „nie bierz.“

Mateusz, gdyby go zaproszono na konferencję i kazano mu wymotywować szczegółowo swoje poglądy, nie wywiązałby się z zadania. Co najwyżej, podrapałby się w głowę, przestąpił parę razy z nogi na nogę i uśmiechnął się z politowaniem na ignoracyą swych przeciwników.

Bo i czego oni właściwie chcą?

Zabrać komu bicz z furi, to znaczy ukraść, zerwać grzyb w lesie, to znaczy wziąć. Bicz kupił właściciel od żyda na targu i zapłacił, jak wiadomo trzy grosze; grzyb wyrósł z ziemi sam, z woli Bożej, nikt za to grosza nie dał... Sądy tego nie rozumieją... podług nich wszystko jest kradzieżą; a czy kto bierze tylko, czy kradnie, nazywają go jednakowo złodziejem...

Wtem właśnie krzywdą i niesprawiedliwością.

Idzie Mateusz, rozmyślając o tem, idzie, nie patrząc na drogę, którą na pamięć zna... idzie szybko, bo mu zimno, bo wiatr dojmujący dmie przez sukmanę, przez kozuch, wierci jak świderkiem, aż do kości.

Taki najgorszy. Lepiej w trzaskający mróz wędrować, niż podczas wiatru.

Już jest las, jeszcze kawalek do chaty Kogucińskiego, najwyżej pół godziny drogi. Trzeba pospieszyć.

Stary wyga Kogut, przez grzeczność Kogucińskim nazwany, choć jego dziad i pradziad Kogutem po prostu się zwał, ma różne sposoby na orzgrzanie. Drzewa nie kupi, więc piec u niego w izbie zawsze gorący, a i flaszę niejedną chowa w ukryciu... Taki ma życie porządne. Pensja go dojdzie, ordynarya, fantowe, a i za skórki coś skapnie... Słowem pan, i nie goni go nikt, po sądach się nie włóczy, wyrokami nie trapi, kożą nie grozi...

Śnieg ścieżki pozawiewał, ale to dla Mateusza głupstwo. Idzie śmiało, nie pyta, byle prędzej pod dach, do ciepłego pieca, do flaszy... Wiatr szkaradny z każdą chwilą się wzmacnia... Szcześliwy, kto nie potrzebuje domu w takiej chwili opuszczać!

III.

Kiedy się stało to nieszczęście, że ziemia się zapadła i Abram z gęsią znikł w przepaści, to była chwila okropna...

Jedno gęgnięcie krótkie, urwane w połowie, ostatnie, jeden jęk przeciągły, trzask łamanego chróstu czy gałęzi, a potem cisza... cisza, ciemność i chłód.

Abramowi zdawało się, że spada długo, bardzo długo, choć w rzeczy samej w okamgnieniu na dnie owej przepaści się znalazł; gęsi zapewne nie zdawało się nic, bo raz, jako gęś, nie miała wyrobionego sądu o rzeczach, a powtóre Abram ją tak fatalnie przygniótł ciężarem swego ciała, że odrazu wyzionęła ducha...

Na głowę Abrama spadła cała fura chróstu, za kołnierz nasypało mu się z garniec śniegu...

Narazie, oszołomiony, przytomność stracił i upłynęło pewnie z dziesięć minut, zanim przyszedł do siebie o tyle, że mógł zawołać: aj waj!

Jest to dobry znak. Człowiek, który w nieszczęściu może to słowo wymówić, nie jest całkiem zgubiony, jeszcze ma apelację... Gorzej bywa, gdy krzyknąć wcale nie potrafi, gdy niemoc zwiąże mu język, a strach zamuruję usta jak cementem.

Z początku zdawało się Abramowi, że wybiła ostatnia jego godzina, ale uszczypnawszy się mocno w policzek, uczuł ból, a cóż jest wymowniejszym dowodem życia, jak cierpienie? Zresztą, gdyby nie żył, musiałby przedtem widzieć, chociaż przez chwilę, straszego anioła śmierci, patrzącego groźnie tysiącami oczów i wstrząsającego mieczem, na którego ostrym końcu wiszą trzy krople trucizny... Gdyby umarł, bolałaby go dusza, rozłączona nagle z ciałem... a tymczasem boli go tylko kolano, które stłukł sobie, padając...

Cóż go więc spotkało? gdzie jest?

Otóż to najważniejsze pytanie. Może go piekło pochłonęło żywcem, wraz z ową gęsią

kusicielką, która istotnie mogła być posłaniczką mefista, czyli złego ducha... Ale nie... W piekle nie może być tak zimno. Twierdzą uczeni, że piekło ma siedmdziesiąt tysięcy ścian, tu niema wcale ścian; w każdej ścianie siedmdziesiąt tysięcy szpar, tu niema wcale ani jednej szpary; w każdej szparze siedmdziesiąt tysięcy bardzo brzydkich owadów, tu ich także nie widać... Można namacać ręką jakieś gałęzie i śnieg, dokoła ziemię gliniastą... można, rzuciwszy okiem w górę, zobaczyć cokolwiek przyświecający ksejzyc i na tem bledziuchnem tle czarne gałęzie sosen...

To nie jest piekło, nie, to ziemia, z drzewami, z wiatrem, od którego gałęzie skrzypią i szum się robi. To nie jest życie zaświatowe, ale to, które Abram od kolebki praktykuje, które miało piękne chwile, piękne skórki, i tylko wyjątkowo teraz stało się nad wyraz ciężkiem i brzydkiem.

Jest to wielka prawda psychologiczna, że człowiek, który w co niedobrego wpadł, ma tylko jedną myśl: jakby się z tego niedobrego wydobyć... Nie mówiąc o topielcach, prawdę tę mogą poświadczyć obywatele siedzący w kozie, mężowie kłótliwych żon, procederzyści oskarżeni o kontrabandę i wielu, wielu innych, niemających szczęścia do handlu.

Abram do wyjątków także nie należał. Szukał wyjścia. Obmacał ściany przepaści, były dość gładkie; zaczął poszukiwać na dnie, czy nie znajdzie jakiego narzędzia, sznura, drabiny, czegokolwiek. Namacał przekłętą gęś. Była jeszcze trochę ciepła, ale martwa i nieruchoma. Kopnął ją nogą ze złością, czemu nie trzeba się dziwić: ona była główną sprawczynią nieszczęścia, więc też Abram nie uważał za konieczne być względem niej uprzedzająco grzecznym i galantem. Gdyby nie ona, nie jej głupie geganie, Abram siedziałby teraz w ciepłej stancyi u Kogucińskiego, targował się z nim o skórki, może byłby je już nabył dotychczas, a tak...

Są podobno jakieś pół-kobiety pół-ryby śpiewające, które zamieszkują w wodach i wdzięcznym głosem wabią nieostróżnych na pewną śmierć lub nieszczęście. Warte one akurat tyle, co ta gęś!

Abram mozoli się, szuka sposobów wyjścia z jamy, ale nie może ich znaleźć. Wpada w gniew, zlorzeczy i na płacz mu się zbiera, a zarazem czuje się zawstydzonym, dlaczego dał się skusić? On! mądry człowiek, stateczny mąż, pierwszy znawca skórek, dał się oszukać głupiej gęsi.

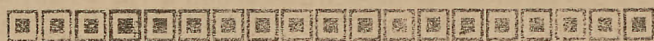
To istotnie wstyd!

Wydobyć się z tej przekłętej jamy niesposób. Żeby choć było widno, ale księżyc taki dziś skąpy, żaluje odrobiny światła. Do dnia czekać... Zimowa noc długa jest jak nieszczęście, można zmarznąć, zanim widno się zrobi. Już półtorej godziny szarpał się Abram w swem więzieniu, gdy nagle uszu jego doszedł odgłos jakiś niewyraźny, zdawało mu się, że ktoś idzie, bo stukanie powtarzało się równo,

miarowo, czasem cichsze, widocznie przez śnieg tłumione, to znów wyraźniejsze nieco, to wywołujące suchy trzask. Widocznie idący nastąpił na zeschniętą gałązkę i złamał ją.

Nie ulegało wątpliwości, że ktoś idzie i że zamierza wprost ku przepaści. Ktokolwiek jest, poratuje, da pomoc, ale trzeba mu dać znać o sobie, niech nie ominie tej jamy, nie zwróci kroków w inną stronę, niech wie, że nieszczęśliwy potrzebuje ratunku. Była chwila wahania... Abram pomyślał, że może ten, co nadchodzi, jest zły człowiek, rozbójnik? Ale nie. Cóżby robił w lesie o tej porze? Zapewne jest to jaki gajowy, klusownik, złodziej leśny, takich zaś Abram zna i nie obawia się wcale.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Głód.

Staszek Rażny szedł do Ispin polami na przełaj, miedzami, byle ino na krótsze drogi. Od Brzozowyrachowało się dobrze trzy mile, toć pospieszać musiał, bo przed samem południem od gospodarza, jak z procy wyciśnięty, w tem co miał na sobie, wyleciał.

Choć dzień był zimny i wietrzny, raz pokazywało się słońko, raz znów chmurzyska zasnuwały niebo — ot, marcowa pogoda — gorąc obejmował mu lica od okrutnego jankoru, a po prawdzie to i od gospodarzowej pięści.

— Już dłużej nie strzymam — mówił se w duchu — dość mi tego wszyckiego dobra: i bicia, i przezwisk, i wszelakiej poniewierki za tę łyżkę gorącej strawy, buty, przyodzewek, i dwanaście szóstek! Niech się co chce wyrabia, a u Sojki nie ostanę!

Juści, nie leką Staszek miał służbę. Sojka choć bogacz, jeden z pierwszych z Brzozowy, ale kutwa, wydziwiacz, jakiegobyś daleko nie uświadczyl; nic jeno haruj ode świtu do nocy, a nikiej mu nie dogodzisz, zawdy mu mało, zawdy źle. Tyło, co na życie chłopak se nie krzywdował; gospodyni dawała jeść jak się patrzy: dużo i z omastą — ale z gospodarzem skaranie boskie.

Na swoje piętnaście років robił, co jeno mógł wydolić. Ani na moment za dnia nie spoczął. Dzisiaj zaciął się w palec przy sieczkarni, bo trza było duchem na południe narznąć la krów do doju — a gospodarz zamiast tego ludzkiego słowa, skoro widzi, że krew z ręki idzie — jeszcze mu w te razy do oczów: „A ty ciamajdo, ty niezdaro!“ — i nuże pięścią bez łeb, bez pysk, kaj trefił.

Od godnich świąt cierpiał staszek taką poniewierkę. Teraz nijak jej zdzierżyć nie mógł. Wracał do ojców, do Ispin — może mu kajndziej służbę wynajdą.

Koło wieczora stanął na ostatnim wzgórk, z kąd już widać było ich chałupinę, hen, za wsią, pod lasem. Mała z niskimi przy ziemi

okienkami o jednym zastroni, z zielono omazała od starości strzechą, tuliła się do ciemnego boru — ot, biedota, jakiej drugiej może we wsi nie było.

Zdyszany dopadł drzwi i zakolatał. W mroczniejącej już izbie zrobił się ruch, rwetes. Dwuletnia Jagnysia przebudziła się i usiadła na pościeli, wołając:

— Mama! mama!

— Cichoj, to Staszek, nie mama. Użrałem go bez okno, kiejś spała — rzekł Szymuś, co osiem róków skończył, i pobiegł do sieni za starszą siostrą, Magdusią.

— Cóż to Staszek, żeś przyszedł?

— Gadał bez co — zarzucili go pytaniami, gdy usiadł na ławie, siostra i brat.

— Kaj ojce? — ozwał się, nie odpowiadając.

— Na jarmak poszli. Wnetki pewnikiem wrócą...

— Dajcie co jeść. Od ranam nic w gębie nie miał, a tu tyła drogi. Straśnien głodny...

— Toś dobrze trefił, niema co rzec. Adyc słuchajże, u nas od trzech niedziel już się wszycko skończyło... Ani na obliźnięcie niczego w chałupie nie najdziesz — zapewniała Magdusia.

— Mama! mama! — Ikała, chlipiąc i pociągając nosem na szerokim wyrku, w starą katanę odziana Jagnysia.

— Ona od głodu tak już od południa płacze — rzekł Szymuś. — Ociuinę fucki (kukurydza mielona, ugotowana na gęsto) ino zjedli i wszyckich nas mgli... Mama przyniesą kukielkę z jarmaku, to se pojemy. Cichoj, Jagnyś, — pogłaskał głowinę maluskiej siostrzyczki — wnetki matuś wrócą, to ci dadzą jeść... Cichojże, cichoj...

— Rety, to ani kartofli niema, nic? — pytał Staszek.

Nic, jakom ci rzekła.

— Ale za piecem pewnikiem musi kajsi być suszona rzepa... Trza hań pożryć...

— Ostatnią jużemy w tamtym tydniu zjedli...

— A z kopca wszyckie karpiele juze wydo stanę? Pokrajalibyśwa w talarki i przypieklłi na blasze, jakeśwa to jedli łońskiego roku o te czasy...

— Będiesz ta karpiele w talarki krajał, a jakże! Dy ani jeden nie ostał... Byłam kiejś z matusią, tom dokumentnie w kopcu widział... Nie wierzysz, idź wszędy, szukaj; skoro co najdziesz, to se zjedz...

— To takeście rychło wszyckiemu dali radę? Adyc łońskiego roku byliśwa wszyscy w chałupie, a o te czasy jeszcze mama u Szlojmy nie brała kukurydzy na odrobek...

— Inkszy był rok, mójeśty, a tera jak nie kukurydżę od żyda, to od Stachniczki ciągiem matka noszą to mąkę, to groch...

— A z czemże poszli na jarmak?

— Ano wzięli tata dwie skórki królicze i stare buty, co je kajsi ze strychu wyciągli... Ino cholewy śnich może co warte...

— Bez cóż ich tak długo nie widać?...
 — Któż ich wie... Nasi ludzie z jarmaku przeszli... Dy już miesiące sie pokazuje...
 — Magduś, mnie okrutnie na wnątrzu mgli — rzekł Szymuś.

— Cóż ci poradzę, mojeśty...
 — Popijam wodę po ociupinie, ale głód ciągiem dojmuje... A kajże się zapodzieli, co ich nie widać, rety! — z płaczem dokończył.

Staszek wstał z ławy.

— E, wiecie, wylecę przed ojców... I tak ziąb haw na izbie, a wypocząłem żdziebko...

— Jabym z tobą szedł — dopraszał się Szymuś.

— Dy w czymże? boso? — sprzeciwiała się Magdusia. — Zeszuję ci to buty na taki ziąb?

— Życz mi, Magduś butów, mojaśty... Legniesz se bez ten czas — jako ja przodzi — przy Jagnysi, to nie zmarzniesz... Moja Magdusiu, toli tak cię proszę...

Zaczął siostrę głąskać po licu i obejmować za szyję.

— Życz mi, mojaśty...

— Ano, niechże będzie... Juści, idzie ci o kukielkę, cobyś się najprzodzi do niej wziół...

Za chwilę Szymuś w zbyt obszernych dłań butach z cholewami, w starej chustce na krzyż związanej na piersiach, wyszedł ze Staszkiem z chałupy. Lecz już w parę pacierzy Magdusia posłyszała koło domu ciężkie kroki i gniewny, donośny głos ojca:

— Cóżes ty głowę stracił, tera, na przednówku do domu uciekać? Na taki głód?!

Wtórował mu płacz Szymusia, który wchodząc za rodzicami do izby, szepnął Magdusi:

— Nic mama nie przynieśli... Tata zgubili parę szóstek, co za skórki wzieni... Któs im wyciągnął z górniczy, jak se tabaki kupowali... Cichojcie, bo strasznie zły... może Staszka będzie bił...

Jakoż Rażny w istocie nie posiadał się ze złości. Rozdrażniony stratą i głodny krzyczał na Staszka, aże mu żyły nabrzmiały na szyi.

— Cie go! Od tłustego, gospodarskiego jadła, od gorącej wary uciek! Przeparzył cię gospodarz — jego prawo — a tyś miał do godnich świąt dobyć! Takem się z Sojką ugodził, ani se miej we łbie, co cię haw będę trzymał... jedną gębę więcej... i cóże w nią wsadzę?!

— Tatusiu — jęczał chłopak — toli ciągiem mnie bili...

— Ale jeść dawali... co?...

— Juści... dawali...

— A w niedzielę mięso?...

— Juści...

— Toś nie miał prawa uciekać, zdybie, wałkoniu zatracony! Od bicia u Sojki nie zdechniesz, a haw od głodu zdechniesz! Ale cię jutro przepędzę, to niema godki...

Podczas tego Jagnysia szlochała na cały głos, daremnie uciszana przez matkę.

Tomasz przyskoczył z pięściami do żony:

— Bier w ten moment tego raka, niech mi się nie drze, bo zatłukę!... Bier i leć duchem na chałupy, do Stachniczki, Kociarowej, abo

do karcmy, kaj chcesz, niech dadzą czego na odrobek... A ty Staszek po patyki, coby mi wnetki ogień był! No, w te razy!

Z czerwonymi od łez oczyma, zasłaniając dziecko plecami, owinęła je kobieta w chustkę, przytuliła do piersi, porwała z ławy koszyczek i wysunęła się z izby, a tuż za nią Staszek.

Nazajutrz rano Tomasz Rażny ze Staszkiem wybrali się w drogę. Dzień był słoneczny, przedwiosenny, ale zimny, to też ziąb imał się Staszka nie na żarty. Raz wraz przystawał i zabijał ręce, przytupując nogami. Ojciec, w górniczy i czapie szedł, nie mitrząc chwili i ciągiem syna wyprzedzał.

Mijali znajome chaty, obejścia, niwy zazienione po ostatniej odwilży. Na drugim końcu Ispin stały domostwa starego Grzeli Sudoła, najbogatszego we wsi gospodarza. Wyszła właśnie na obejście dziewczka z konewkami i zmierzając do studni, zawiodła wesoło:

Pójdę ja se pójdę,

Wezmę ja se dujdę,

A za moją dujdą

Wszyscy chłopcy pójdą! Da, dana!

— Co to takiej przednówek robi! Pewnikiem setnie pośniadała! O, pyski jak buraki! Wiadomo, Sudoły brzuchy se maszczą, kiejsłachta! — mruknął Tomasz, zerkając z pośledba na Sudołowe obejście.

Staszek cichy, pokorny szedł w milczeniu za ojcem, nie śmiejąc rzec słowa.

Po paru godzinach drogi, na szerokim, bokami suchym gościńcu, rzekł Tomasz z ulgą:

— No, jeszcze ino pół mili do Bzowowy...

— A juści...

— Będzie się szło teraz ciągiem pod górkę, ale za jaką godzinę abo przodzi staniewa u Sojki...

— Staniewa...

W samo południe, gdy to z wszystkich kominów po chałupach się kurzy, zbliżyli się do Sojkowego domostwa. Obejście leżało na wzgórk, biała chała zdala lśniła w słońcu. We drzwiach akurat przystanęła gospodyni, przysłoniła dłonią oczy, i zniknęła w ciemnej sieni.

Za chwilę wytoczył się sam Sojka, chłop tęg, zarosły, z siwawym, przystrzyżonym wąsem. Stanął se w progu, podparł pięścią bok i czeka.

W drewnianych wrotach obejścia zatrzymał się Staszek. Tomasz, podchodząc dalej, zdjął czapkę przed Sojką.

— Pochwalony!

— Pochwalony! Witajcie, Rażny, wlećcie do chałupy, bo niby wiesna, ale mrozi ona ta jeszcze, mrozi...

W jasnej, ciepłej izbie właśnie rodzina siedziała dookoła ogromnej misy. Buchała jeszcze para z gorących klusek, suto maszczonych skwarkami.

— Siadajcie z nami wraz — zapraszał Soj-

ka — siadajcie... Dy trzy mile drogi, nie śpas... zgłodnieliście...

Raźny przyjął drewnianą łyżkę i w milczeniu jadł pospół z domownikami, ale „politycznie“, nie biorąc dużo i omijając największe skwarki.

Gdy miska się wypróżniła, gospodyni odeszła do komina, a dziewczuchy ruszyły się z ławy, otarły szeroko usta rękawem górniczy.

— No, Bóg zapłać, gospodarzu i wam, gospodyni... Ale ja haw... wedle Staszka...

— Adyć wiem — pokiwał głową Sojka — przyprowadziliście go nazad. Stoi hań przy wrotach. Ale ja go, moiściewy, już nie chcę.

Vycionem go wczora, bo w każdziusieńkiej robocie ślimak i niedorajda, palca se mało nie ucion przy sieczkarni — a ten w te pędy w nogi... Dy samibyście takiego robotnika nie chcieli... Daj ta matka pół bochenka chleba — zwrócił się do żony — weźniec se na drogę, skoro spoczniecie, ale chłopaka se zabiercie...

Markotno zrobiło się Tomaszowi, choć nie bardzo w postanowienie Sojki wierzył.

— Panie gospodarzu, racya wasza... Dy ciem go sam mało nie zeprał w chałupie, skórom wczora z jarmaku wrócił. Ale nie cudujcie się. Głupie to jeszcze, niczemu nie rozumie. Pocóż bym go do dom brał?... Nijakiego zarobku niemam, bieda u mnie, aże piszczy... Wczora ostatnich kilka szóstek wyciągli mi z górniczy na jarmaku... W chałupie do gęby niema co wrazić... a jeszcze teraz Staszek... Dy się ulitujcie, panie gospodarzu...

Długą chwilę wahał się Sojka, niby to nie mogąc rzeknąć: tak, albo nie.

— Ociec — przerwała kłopotliwe milczenie gospodyni — nie bądźże taki zawzięty, weź Staszka... Skoro głód mu doskwirzył, przezna jak służby szanować... Dy słyszysz, u nich okrutny przednówek...

— U mnie, dziękować Panu Jezusowi, nijakiego przednówka nie bywa... Wszyckiego zawdy do żniw starczy... Ale będę do takiego trzymał, co mi znowu kiej ucieknie?...

Schylając się do kolan Sojki, prosił Tomasz:

— Już on teraz nie ucieknie, panie gospodarzu. Darujcie...

Machnął wreszcie Sojka ręką dobrotniwie.

— Ano niechże już będzie na waszem... dy ciem katolik... A skoro latoś taki głód u was, to jeszcze i krup i grochu gospodyni wam dadzą... Ale Staszka przez ukarania nie przwimę... Naprzód musi dostać, co mu się patrzy... potem będzie poledniował i do roboty... Krzyknijcie, coby haw wlaźl...

I jał odpasywać rzemień.



SKOWRONEK NA POBOJOWISKU.

— Skąd-to, skąd drobne przybywasz ptaszę Zawodząc pienia radosne? Czy tak jak dawniej na pole nasze Sprowadzasz zieloną wiosnę?...

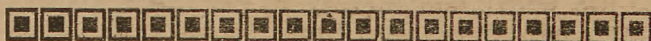
I po szerokiem, bojowem polu
Powiodłem duszy oczyma...
A oczy zaszyły krwawą łzą bólu,
Czując, że wiosny tu niema.

Bo choć zielono i śpiewno wszędzie,
Kwiatki się z pączków wywiły,
Gdzieindziej kwitnie grzęda przy grzędzie,
A tutaj same mogiły.

Więc cicho — ciszej! drobna ptaszyno
Zmień w dumkę śpiew twój radosny,
Nie głos o wiosnie ponad krainą,
Dla której niema już wiosny.

Gdzietam!... czy prośby mej nie dosłyszał,
Czy słowom smutku nie wierzył: —
Pieśni nie zmienił, głosem nie ściszał,
Lecz mocniej w dzwonek uderzył.

A tak radośnie... a tak wesoło...
Głosiło ptaszę to wieszczce,
Żem sam nadzieją rozjaśnił czoło:
Że wiosna przyjdzie tu jeszcze!...



Wojna nawraca...

...W walce nastala przerwa. Nie wiemy, jak długo Francuzi zostawią nas w spokoju, ani też kiedy nasi dowódcy wydadzą rozkaz do dalszej walki. Tymczasem jednak armaty grzmiać przestały.

Jest sobota po południu. Wypoczywamy. Myśl ucieka do okolic ojczystych do Śląska, bo nas tu najwięcej polskich Górnoślązaków. Co się tam dzieje? Co tam nasi porabiają?... Tak sobie człowiek medytuje...

Wtem idzie przez szeregi wiadomość, że ksiądz rodowity Górnoślązak, przyjechał do nas, aby wysłuchać nas spowiedzi. Prawda, toć Wielkanoc się zbliża. W tym zamęcie wojennym zapomina się o tem.

Zaczynamy wychodzić. Idę ja, idzie Franek ze Zabrze, idą inni, coraz ich więcej i więcej. Zdążamy do kościoła, gdzie dwóch księży już spowiedzi słucha.

Mój Boże! Czym ja sobie myślał przed rokiem, że gdzieś na końcu świata, we francuskiej wiosce przyszlą Wielkanoc będę obchodził.

Ani mi w głowie nie powstało! Zkądżebym miał miłą ojczyznę opuszczać, odchodzić od ojca i matki, od naszego ślicznego kościoła, od naszych pól, wonnych łąk i szumiących lasów w kozielskiem...

A jednak oto jestem we Francyi a zemną wielu rodaków śląskich. I byłoby nam tu obco gdybyśmy mieli wiele czasu do rozmyślenia, lecz Francuzi starają się o zajęcie dla nas...

Teraz idę ku kościołowi. Podobny on do naszego, niewielki, stary, wśród drzew. Kule oszczędziły go widocznie, bo spustoszenia nie widzę wiele.

Wchodzę do kościoła i wraz jestem jak u siebie, jak w domu. Nic dziwnego, ten sam Pan Bóg wszędzie, ten sam kościół tutaj, a w słuchalnicy siedzi ksiądz Polak ze Śląska. Prawie się rozplakałem z rozrzewnienia i wdzięczności, iżem katolik, bo widzę, że to mi osładza pobyt na obczyźnie; w tym kościele katolickim czuje się bezpieczny, spokojny i szczęśliwy.

Owej soboty 450 żołnierzy wypowiadało się, a pewnie się nie omylę, gdy powiem, że każda z tych spowiedzi była, jak moja, z głębi skruszonego sumienia pochodząca. Mój Boże, kto wie, czy to nie ostatnia w życiu?...

Nazajutrz niedziela. O 10 godzinie rozpoczęło się nabożeństwo. Kościół pełen żołnierzy: piechoty, kawalerii, żołnierzy lazaretowych. Śpiewamy.

Potem ksiądz ma do nas przemowę i przygotowuje nas do przyjęcia Komunii św. Co mówił, o tem nie piszę, lecz wszyscy mieliśmy lzy w oczach.

A potem wielka chwila przyjęcia Pana Jezusa, w hostyi ukrytego. Nigdy w życiu jeszcze nie widziałem mężczyzn, przystępujących z taką pobożnością do Stolu Pańskiego. Tak przyjmowałem Komunię św. jako chłopiec, po raz pierwszy w życiu: z świętem drżeniem i oddaniem się Bogu. I tak znowu dzisiaj w obcym rękawie. A wraz też mi przyszło na myśl, jak to dawniej nieraz Sakramenta Wielkanocne z pewną obojętnością przyjmowałem.

Na zakończenie ksiądz udzielił nam błogosławieństwa. „O błogosław nam Panie, życia i śmierci zachowaj od złego!“...

Gdyśmy wychodzili z kościoła, widzę, że przyjaciel mój, Franek z Zabrze, lzy ma w oczach. Kładę mu rękę na ramię i mówię:

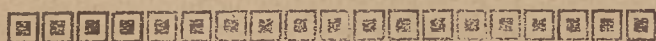
— Nie płacz teraz, lecz ciesz się; masz Jezusa w sobie; cóż ci się stanie?

A on na to:

— Ty się nie dziw! Już od pięciu lat nie byłem u spowiedzi. Nie ze złej woli, ale z niedbalstwa. Wiesz jak to bywa: człowiek odsuwa, odsuwa, aż Wielkanoc minie i czas spowiedzi wielkanocnej... i potem się zapomina... Może dlatego ścisnął mnie taki żal, taki żal...

I przestał mówić, bo płacz mu głos zatykał.

A ja go wzięłem za rękę i uściśnąłem. Potem szliśmy razem do kwatery...



ŻARTY.

Nasze dzieci.

Mama czyta z gazety: — Wojska nasze pobili nieprzyjaciela na lewym skrzydle. Wtedy pyta się nagle 6-letni Antoś: — Mamo, czy nieprzyjacielem nasi są aniołami. — Gdzież tam odpowiada matka zdziwiona — bynajmniej! Ale jak ci to na myśl przyszło? — No — odpowiada mały Antoś: — Przecież mama czy-

tała, że wojska nasze biły nieprzyjaciela na skrzydło.

Wojtuś i Maciuś pobili się o jabłko. Wtedy Maciuś, który jest słabszy, leci po swego mocniejszego przyjaciela i wzywa go do pomocy. Ten jednakże, cały zajęty wojną, odpowiada: — Nie, ja zostaję neutralnym!

— Ach, wy dzieciaki, coście teraz znowu wyrządzili? Drogą książkę zmarnowaliście do szczętu.

— Proszę mamy, myśmy ją tylko umyli, bo tatka mówił, że to taka brudna historia.

Chytry Anglik.

Anglicy są podobno bardzo chytry i prze-myślni, jak zresztą można się o tem przekonać z następującego zdarzenia:

Pewnego razu założył się Francuz z Anglikiem o to, który z nich potrafi dłużej pływać. W dzień rozstrzygnięcia zakładu pojawili się obaj na brzegu morza w kostymach kąpielowych. Anglik z workiem na plecach, na którym napisane było „żywność na trzy dni.“

Gdy to zobaczył Francuz, zrezygnował z próby i zapłacił przegrany zakład, nazajutrz jednak dowiedział się, że ów Anglik wcale pływać nie umie.

Przed sądem.

— Cóż to? ukradłeś aptekarzowi materac?

— A no... powiedziała mi żona: „Idź do apteki i przynieś mi coś do spania!“

Trafił frant na franta...

Pan Pafnucy nie miał szczęścia do futer — już dwukrotnie jego wspaniałe lisy i niedźwiedzie padły ofiarą nigdy nie nasyconych apetytów złodziei.

W tym roku nasz bohater sprawił sobie nowe, eleganckie futro. Uczęszczając bardzo często do cukierni, na sympatyczną „górkę“ bilardową, zostawił futro na wieszadłach. Obecnie pan Pafnucy drżał na samą myśl, iż w myśl zasady: „do trzech razy sztuka“, jego nowe futerko może się w sposób tajemniczy ulotnić, „jak sen złoty.“

Wreszcie pan Pafnucy wpadł na genialny zaiste pomysł.

Oto umieścił na futrze dużą kartę z napisem: „ostróżnie! futro po cholerycznym!“

Na futro z bakcyliami straszliwej zarazy, zdaniem pana Pafnucego, nie zlakomi się nawet najbardziej wytrawny rzezimieszek.

W tych dniach jednakże (o rozpacz!) pan Pafnucy zauważył w garderobie cukiernianej brak swego zakażonego futra.

Została tylko, jak na igraszkę, owa ostrzegająca karta, na której poszkodowany znalazł dopisek ołówkiem: „ze względu na dobro ogółu, oddane do dezynfekcji.“

Redaktor odpow. (z zastępstwem) Feliks Bielicki w Opolu